



Tragiczne królowe, ambitne cesarzowe

Z Niną Andrycz rozmawia Małgorzata E. Malicka

- W Teatrze Stara Prochownia dla uczczenia 55 lat pani pracy scenicznej została wystawiona sztuka szwajcarskiego dramaturga Ottona F. Waltera „Ello albo wesołe towarzystwo” z główną rolą kobietą jakby stworzoną dla pani. A przecież przez te wszystkie lata była pani wierna jednemu teatrowi - Teatrowi Polskemu.

- Sztukę w tłumaczeniu Jacka Frilinga zaproponował mi Wojciech Siemion, kierownik artystyczny Teatru Stara Prochownia. Zgodziłam się w niej zagrać - zwłaszcza że znalazłam już reżysera Zdzisława Wardejna i scenografkę Xymenę Zaniewską z Teatru Telewizji.

- Prasa informowała, że miała pani uczcić swój jubileusz rolą multimilionerki w „Wizycie starszej pani” Dürrenmatta u dyrektora Dejzka.

- Nie wiem, dlaczego dyrektor Teatru Polskiego rozmyślił się. Nie rozmawiał ze mną na ten temat, więc nie znam powodów.

- Drugą co do wielkości, trudną rolę Ella powierzono debiutantom. Jak pani się czuje grając z młodym, niedoświadczonym aktorem?

- Uważam, że Artur Kaczmarek zaprezentował się ciekawie i że ten spektakl może go wyłansować. Pozostali wykonawcy to już nazwiska znane i uznane: Gustaw Lutkiewicz - mój sceniczny mąż, Anna Cielewska, Aleksandra Zawieruska, Alicja Jachiewicz, Wojciech Siemion.

- Co w postaci Elli, którą pani kreuje, jest tworzywem godnym jubileuszu?

- Zafrapował mnie bunt mojej bohaterki przeciw sytemowi figlupełmu świata bogatego mieszczaństwa, do jakiego należy poprzez swoje małżeństwo. Jest mi bliska jej tęsknota za wielką miłością, jej bovaryzm, rozdarcie między racjonalistyczno-dorobkiewiczowskim klimatem Szwajcarii a własnym marzeniem o innym życiu. Jednak egzaltowana do granic szaleństwa Ella ma chwilę zdumiewającej trzeźwości. Postać ta daje bogaty i wdzięczny materiał dla pracy nad rolą. A ja jestem zadowolona z życia tylko wtedy, kiedy pracuję.

- Czy w życiu osobistym zdarzało się pani bywać Ellą?

- To bardzo podchwytliwe pytanie... Odpowiem na nie tak: rozumem jej rozterkę emocjonalną i podzielałam tęsknotę za wielką miłością.

- Z wywiadów prasowych wynika, że w pani życiu zawsze liczyła się tylko jedna miłość - do teatru. Ta była najważniejsza i jej poświęciła pani swoje życie.

- Tak, to prawda. Moją największą miłością zawsze był Teatr, przez duże T. Ze szczególnym wzruszeniem myślę o moich pierwszych dużych rolach zagranych w czasach, kiedy teatr był sztuką suwerenną i my, ówczesnie młodzi aktorzy, mieliśmy najwspanialszych reżyserów - Leona Schillera, Aleksandra Węgięrkę, Edmunda Wiercińskiego, żeby wymienić najważniejszych,

a sztuka aktorska była oceniana przez wielkich pisarzy, takich jak np. Tadeusz Boy-Żeleński, Kazimierz Wierzyński, Karol Irzykowski, Antoni Słonimski. Obecnie, gdy ktoś podpisuje się pod recenzją teatralną - dajmy na to - nazwiskiem Lis, to ja naprawdę nie wiem, o kogo Lisa chodzi, i to bynajmniej nie dlatego, że za mało czytam. Dzisiaj wszystkie teatry przeżywają głęboki kryzys. Chciałabym wierzyć, choć nic na to nie wskazuje, że przejściowy.

- Ale pani miała szczęście debiutować w okresie młodości.

- Nie przeczę, to wielkie szczęście. W mojej książce pt. „My - rozdwojeni”, która ukazała się nakładem „Twojego stylu” w tym miesiącu, będzie można przeczytać o moich artystycznych początkach w tamtej odległej już, niepowtarzalnej rzeczywistości, w jakiej przeżywałam ogromny entuzjazm dla sztuki.

- Jaka rola z tamtych lat wydaje się pani najważniejsza?

- Solange z „Lata w Nohant” Jarosława Iwaszkiewicza w reż. Edmunda Wiercińskiego. W sztuce tej partnerowałam wielkiej aktorce - Marii Przybylko-Potockiej, od której mogłam nadal uczyć się fachu.

- A po wojnie?

- Och, to była cała galeria tragicznych królowych, ambitnych cesarzowych, zaczarowanych księżniczek, hrabin, wielkich dam oraz bohaterek narodowych: Joanna d'Arc, Mariana Pineda... Mam w swoim dorobku również

kollekcje „wielkich miłośnic”, takich jak Anna Karenina, Madame Bovary, Dama Kameliowa.

I wreszcie, kiedy nastąpiła zmiana mojego emplot, co jest w prawidłowym rozwoju osobowości aktorskiej rzeczą bardzo pożądaną, grałam takie postaci, jak Anielcia Dulcka, Kitti Warren z „Profesji pani Warren” Bernarda Shaw, Baba, Dziwo ze sztuki Marii



Nina Andrycz jako Maria Stuart, 1958 r.

Fot. B. J. Dorys

Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej... Dziś mówię mi nie ta wylczanka. Nie obchodzi oficjalnego jubileuszu m. in. dlatego, żeby przednic od kultury nie wylczali moich „osiągnięć” myląc daty i tytuły.

- Pracując nad rolą nadaje jej pani pełno swojego indywidualnego odczuwania i pojmowania...

- Naturalnie. A jeśli tekst jest dziełem współczesnego autora, uzgadniałam z nim ewentualne poprawki lub dopisanie potrzebnych replik. Przykładem tego jest korzystnie powiększona na moją prośbę przez autora rola Kseny w „Maestro” Jarosława Abramowa-Newełlego.

- Do jakiej roli przymierzają się pani w najbliższym czasie?

- W czerwcu mam zacząć próby w Teatrze Telewizji. Będzie to moja własna adaptacja noweli Jadwigi Skotnickiej pt. „Mgła”. Zagram w niej wybitną aktorkę, która stanęła wobec konieczności zmiany swojego dotychczasowego emplot. To ciekawa rola, porusza problem często dyskutowany w naszym środowisku.

- Teatr Telewizji przyniósł pani wiele sukcesów - aż 4 nagrody publiczności.

- A najwięcej listów od publiczności otrzymywałam po „Damie Kameliowej” w reż. Adama Hanuszkiewicza, „Psie ogrodnika” w reż. Konrada Swinarskiego, „Bez posagu” w reż. Jerzego Antczaka i po „Dzikich palmach” w reż. Ludwika René. Lubię grać w Teatrze Telewizji, bo wiem, że wtedy rzeczywiście trafiłam pod strzechy.

- Wierna pani publiczność chciałaby jednak świętować jubileusz swojej gwiazdy w jej macierzystym teatrze.

- Pożyjemy, zobaczymy...